

Ucieczki

„I've got a new story now and it goes like this.
Ho ho ho ho. Huh huh huh huh”
The Knife

1

Od wielu dni nie odrywał wzroku od jej twarzy, z której powoli znikła opuchlizna. Powracała znajoma kolorystyka, proporcje i kształty. Powieki wyglądały, jakby można było je już podnieść. Kompulsywnie drżały, hipnotyzowały, jakby to drżenie naprawdę zapowiadało otwarcie oczu, jakby ich otwarcie było w jakiś sposób powiązane z ich nie-mruganiem. Zanim straciła przytomność i pogrążyła się w śpiączce, zdążyła kilkukrotnie do niego zadzwonić. Nie rozmawiali od miesięcy. Wyrwany ze snu wsłuchiwał się w jej krzyk połykający wyrazy już w chwili ich produkcji. Z wyrzucanych przez nią części zdań, zdeformowanych przez płacz, krew sklejącą usta, złamany nos blokujący dopływ powietrza, zmontował narrację o ciemnej, podmokłej uliczce, parku, chropowatym murze, na którym rozsmarowali Adama, po czym wdeptali ją, Magdę, nieskutecznie, z czego śmiała się, śmiała się przez chwilę jakby nic się nie stało, w kostkę brukową solidnie zasznurowanymi ciężkimi butami, lecz także niepozornymi, przewiewnymi sportowymi adidasami, w których bielila się fropa-skarpeta, uciskana gumką wygodnych dresowych spodni. Zaciął się, prosił o więcej informacji, zadawał mnóstwo zbędnych pytań, gdzie, jak, kto, czy widziała twarze, jak dokładnie byli ubrani, o cechy charakterystyczne, o znaki szczególne sprawców, o ich miejsce zamieszkania, o to, czy ich znała, zazwyczaj się ich zna, czy mówili coś, co pozwoliłoby ich zidentyfikować, czy byli wysocy, czy niscy, czy byli pijani lub pod wpływem narkotyków, czy było to raczej typowe, spontaniczne, zdrowe zachowanie grupowe, rozładowanie napięcia, które musi znaleźć u j s c i e, czy też był to zaplanowany atak, czaili się, marznąc może od wielu godzin, a jeśli tak, to jakie ujawnili motywy, a jeśli nie, to czy w jakiś sposób Magda i Adam ich s p r o w o k o w a l i. Na wszystkie pytania odpowiadała, że Adam się nie rusza, nie oddycha, że jest jej słabo, że pierdoli, kręci jej się w głowie, nie może iść, bo boli ją noga, nigdy nie widziała tak śmiesznie wykręconej nogi, jak u lalki, strasznie boli ją noga, napierdala, Adam się nie rusza, w sumie nie oddycha, gdyby była w filmie, nie, nie ma tu kamer, jesteśmy przecież w parku, sprawdziłaby mu puls, tak się przecież robi, nie wyczuwa własnego, ciemno, skurwysyny, jest coraz ciemniej, żebyś, kurwa, jakoś pomógł. Wreszcie przestała, rozłączyła się. Dobrze, a więc pogotowie. Dzień dobry, chciałbym z a m ó w i ć karetkę, moi znajomi zostali ciężko pobici, jedna osoba jest co najmniej nieprzytomna, druga pewnie zaraz odleci. Gdzie? W parku. Zapomniałem zapytać w jakim, kurwa,

parku. Pewnie Skaryszewskim... Pewnie? Musimy być pewni, zanim wysłamy karetkę. Oni umierają, to pani jest niepoważna. Jestem spokojny. Nie przesadzam. Proszę się nie rozłzczać. Ciekawe, jak ich znaleźli. Karetka musiała krążyć po ciemnym parku, przypatrując się, czy pijani ludzie, wsłuchani w disco-polo wylewające się z ich telefonów, nie potrzebują pomocy. Oj, ktoś dostał wpierdol? No zobacz. Poszukajcie po krzakach. Chyba że wrzucili ich do kanatu.

Nie mogli znaleźć jej spodni i bielizny. W karetce zawinęli ją, dygoczącą z zimna, w lekarskie fartuchy, koce termiczne. Magda, zanim nieodwołalnie zasnęła, próbowała opisać koleśki, którzy ich napadli. Z jej opisu jasno wynikało: byli podobni zupełnie do nikogo. To znaczy wyglądali jak w s z y s c y. Byli nie do namierzenia. Wyglądali modnie. Niewidzialni. Ziarna piachu na plaży. W ogóle w karetce Magda dużo żartowała, na przemian wymiotując, jak opisywał to kierowca karetki, podziwiając jej energię i wypytując o Adama, powiedział, że odlatywała: „Ona totalnie odlatywała!”. Jak wszyscy młodzi chłopcy. Twarze również mogły być przypisane co drugiej osobie spotkanej na ulicy. Opisana przez nią twarz jest polskim dobrem narodowym, eksportowanym we wszystkie regiony świata. Zdrowa słowiańska twarz, promieniejąca od zbiorowych uniesień.

Teraz te ciała, Magdy i Adama, które kiedyś tak kochał, w obecności których niedługo czuł się zupełnie swobodnie, prawie tak jakby istniał na tych samych prawach, co wszyscy ludzie, n i e o c e n i a n y za najdrobniejszy gest czy wypowiedziane słowo, są całkiem nieruchome. Jedno z nich, może nawet bliższe niż ciało Magdy, będące modelem tego, kim sam pragnął zawsze tak po prostu być, leży nie dość, że sztywne, to do tego zupełnie lodowate. Fioletowe wykwiły, zmiażdżoną szczękę Adama, nos szykujący się do oderwania od reszty twarzy miał okazję podziwiać w podziemiach szpitala. Do kostnicy został wciągnięty zapraszającym gestem patologa, który wyglądał i działał jak skrupulatny, wspaniale zmechanizowany urzędnik. Jego pocieszna zaczeska nadała mu wygląd złagodniałego Łukaszenki. Gdy wszedł do kostnicy, patolog splotkiwał zielonym szlauchem resztki krwi do odpływu. Spłynęła z cichym bulgotem, w który wplatał się kojący szept znawcy ciał. Celowość jego gestów była obezwładniająca. Koleś zachowuje zimną krew. To dobrze. Wyraźnie kipiało w nim pragnienie, by odtworzyć na podstawie cielesnych znaków przebieg akcji. Kolejne ciosy, poszczególne przyczyny, których suma równała się śmierci Adama. Odmówił mu jednak tej przyjemności. Opuszczając kostnicę, dostrzegł przyczajoną w kącie kolorową parasolkę. Maszyna do szycia znajdowała się niestety kilka ulic dalej, w domu pogrzebowym, który zobligował się do uporządkowania Adama tak, by – jak entuzjastycznie poinformował go dyrektor domu pogrzebowego – „uniknąć nieprzyjemności zamykania wieka trumny w najefektywniejszym czasie wystawowym ciała”. Wychodząc z kostnicy, minął się w drzwiach z rodzicami Adama. Matka była niesamowicie chuda i żylasta, ojciec czerwony na twarzy, pachniał świeżo palonymi papierosami. Co miał im niby powiedzieć? Nie wie, co jest grane, wszystko było nie do końca rzeczywiste. Przecież ludzie nie umierają już tak po prostu w parkach.

Wpatrując się w mechanicznie oddychające ciało Magdy, przypominał sobie, jak bardzo sobą gardził, zanim poznał ją i Adama. Był seryjnie reprodukowanym trupem, odpadkiem cywilizacyjnym, starającym się utrzymać na powierzchni. Trudno powiedzieć, czym się w ogóle zajmował. Teoretycznie była to dystrybucja filmowa. Równie dobrze mógłby jednak nie pokazywać się w pracy, nie miałoby to najmniejszego wpływu na otaczający go świat. Posyłał swoje dość dobrze zakonserwowane, gadatliwe zwłoki do pracy. Im bardziej martwe, tym bardziej wygadane. Zwłoki działały bardzo sprawnie, jadły, srały, wylewały spermę, żarty, ucinaty small talki ze w s p ó ł p r a c o w n i k a m i. Rozglądał się dookoła, ale trudno było znaleźć jakieś dowody na to, że żyje. Jedynie przemoc, którą wyzwalaty narkotyki, pozwalała stanąć chwilowo w pionie, twardo przekonać się o własnym cielesnym istnieniu. Psychodeliki na parę chwil mocowały w osi świata, który przez moment brał go w swoje obroty. Rzeczywistość jest utracona. Może kiedyś istniała, przeczuwał to. Kula z pistoletu w tył głowy, bagnet w brzuchu, ćwiartowanie, wbijanie na pal, rozrywanie koźmi, wrywanie paznokci, płatki ciał rozwiane atomowym podmuchem – t o było bardzo prawdziwe.

Czy to, że krwawię, jest wystarczającym dowodem, że nóż jest ostry, a krew wypływa z mojego wnętrza? Należało być podejrzliwym, nieustannie sprawdzać wytrzymałość rzeczywistości, poszukiwać szczelin, pęknięć. Ich krótkotrwałe zjawienie zapowiadają drobne oznaki, które łatwo przeoczyć. Oddech staje się cięższy, przenika nas obce ciepło. W tych szczelinach, do których tak trudno dotrzeć, gromadzą się warstwy, drobiny osadu, można z nich wróżyć o naszej przyszłości. Zazwyczaj jest nieprzenikalna, a jedynie objawia się w działaniu, rozwoju w zbyt wielu kierunkach, w nieskończonych przebiegach równoległych ścieżek, gdzie nasze ciała służą za kierunkowskazy. Świat z tą samą mocą ciąży na tym, co niezaistniałe, i na tym, co już istnieje.

Należy sprawdzać wytrzymałość rzeczywistości. Jedynym testem zaświadczającym jej prawdziwość jest zderzenie z ciałem. Jeśli ciało wyjdzie z konfrontacji pokiereszowane, to w pewien sposób zostaje potwierdzona realność rzeczywistości, a tym samym tego krwawiącego, obcego pudła, w którym ktoś – raczej przez nieuwagę niż ze złośliwości – nas zamknął. Ciało przed zderzeniem bywało nazbyt lekkie, jakby miało się odwiązać i ulecieć w górę. Rzadko jednak nadarza się dziś okazja do intensywnej, nadwerężającej konfrontacji, przez co rzeczywistość wydaje się tak nieprzekonująca, a my wzlatujemy nazbyt wysoko, zapominając, że kiedyś już stąpaliśmy po ziemi, czuliśmy jej ciepło, zapach, mieliśmy ciała, które desperacko poszukiwały ucieczek. Ciało niemal wyzbyło się krwi, a rzeczywistość – mocy fascynacji.

Pamiętał, że gdy był mały, wpadł w szybę, krew tryskała pod sam sufit. Gonił brata, był zdeterminowany, by wreszcie go zarznąć, udusić, zmiażdżyć twarz krzyżem. Ten jednak zamknął przeszklone drzwi od swojego pokoju, zaparł się całym ciałem. Ręka osunęła się z klamki i wpadła w sąsiadującą z nią szybę. Usłyszał huk pękającego szkła, odruchowo wyciągnął rękę (i jak miał się później dowiedzieć od lekarzy), tym sposobem znacznie pogłębiając rany. Krew tryskała pod szalonym ciśnieniem, zalewała mu ramię, ślizgał się na niej, skarpetki cmokały odklejane od podłogi. Szumiało w głowie, wewnątrz

zalewały ciemne fale gorąca. Wyglądało to jak efekt specjalny kina klasy B, z tą różnicą, że było prawdziwe i to jego ręka z cichym, nieustępliwym sykiem wypuszczała w górę strumienie krwi. To była jego ręka. Ręka. Musiał przeciąć tętnicę i parę innych żył. Ręcznik. Odpływ. Tak strasznie bał się śmierci, płakał, wściekł, że umrze w tak idiotyczny sposób. W wieku piętnastu lat zostać znalezionym w łazience, tak po prostu wypompowanym z życia? Krew spływała strumieniami w odpływ, wanna wdzięcznie przyjmowała kolejne strumienie. Pojedyncze chluśnięcia, wyznaczone rytmem przyspieszonego tętna, barwiły ją na różowo. Brak woli walki. O, a więc tak wygląda koniec, jak przyjemnie, było coraz przutulniej. Ciemność. Włochaty koc nieistnienia. Obudził się w szpitalu. Obandażowana ręka, krew na białej poduszce. Czekał na operację. Jakies dwadzieścia szwów, zwiążemy tętnicę, ściągna też się połączy, niech się nie martwi, za godzinę weźmiemy na stół operacyjny, tylko nic nie jeść, nic nie jemy, proszę nic mu nie dawać – nawet wody. Dojrzywał, wpatrując się w plamę krwi przejmującą powierzchnię białej poduszki.

Gdyby wiedział, że już nigdy nie przeżyje czegoś równie prawdziwego, że całe życie będzie szukał namiastek tego doświadczenia, to swoim dziecięcym głosem grzecznie poprosiłby panów chirurgów o niezaszywanie rany, o umożliwienie swobodnego przepływu, całkowitego otwarcia. Zakończyłby życie w momencie, w którym było najintensywniejsze. Odbity o kilka walk mniej. Bo przecież nigdy nie wiadomo, co może się przytrafić, gdy rano ignorujesz ból, podejmujesz kolejną próbę i pomimo wszystko wstajesz z łóżka. Niektórzy zmieniają się w obrzydliwe robaki, by w ten sposób uniknąć konieczności podejmowania jakichkolwiek decyzji. To jest jakieś wyjście, z którego niestety nie potrafił skorzystać. Jego kołdra jest naprawdę krótka, najtańszy ikeowski model. Pod kołdrą jest zawsze za mało przestrzeni, by ukryć się całkowicie. Może to jest jedyny powód, dla którego wstajemy, licząc na to, że przemkniemy przez dzień w sposób n i e z a u w a ż a l n y. Tak w idealnym świecie działałaby kryjówka z kołdry. Kołdra niewidka, bez której nie przekraczasz progu mieszkania. Dlaczego myśl o samobójstwie wydaje się coraz cięższa, jakby przytłaczająca. Wiedział, że jeśli nie podejmie się tej próby w ciągu najbliższych paru lat, zostanie już na zawsze wpisany do rejestru umierających na raty.

Zanim spotkał, czy raczej – zanim Magda i Adam spotkali jego, nieustannie eksperymentował z własnym ciałem, badał jego granice, możliwości programowania sposobu, w jaki funkcjonowało. Nie potrafił już spędzać czasu z ludźmi, których nie spalało pragnienie osiągnięcia jakiejś świeckiej transcendencji. Byli odpowiedzią na to pragnienie. Gdyby nie istnieli, wymyśliłby ich kawałek po kawałku. Wyglądali, jakby pragnęli opuścić własne ciała, by ulecieć gdzieś daleko stąd, pozostając fizycznie wciąż w tym samym miejscu. Mimo że unikali rozmów wprost o swojej relacji, to jakimś harmonijnym sposobem potrafili pokojowo współpracować, zarówno w sferze emocjonalnej, erotycznej, a w końcu biznesowej. Zaistnienie polskiej pornografii stanowiło o niezaprzeczalnej wartości ich wkładu kulturowego. Mikrokosmos, w którym sperma, ślina i gotówka płynęły kanalizowane ekonomiczną kalkulacją.

Wyprowadzili go z ery pornografii teoretycznej. Katalogował, segregował, analizował tysiące filmów pornograficznych w sposób m a t e m a t y c z n y. Poszukiwał powtarzających się wzorów, tworzył coraz subtelniejsze kategorie podziału i dystrybucji podniecenia seksualnego. Pornografia była jednak przede wszystkim nudna. Nie było tu zbyt wiele do odkrycia. Seks, zwłaszcza ten odgrywany, nie zawierał w sobie żadnej tajemnicy. Siłą rzeczy pornosy niestety robiły największe wrażenie na ideologach religijnych. Elektryzująca radość obrzydzenia z oglądania seksu na ekranie musiała wiązać się z purytańskim wyparciem. Wyniki pewnych badań, z którymi miał niegdyś okazję się pobieżnie zapoznać, brzmiały druzgocąco dla rodzaju męskiego. Okazało się, że mężczyźni, którzy w badaniach deklarowali się jako zatwardziali heteroseksualiści, dostawali bżika na punkcie gejowskich pornosów. Na poziomie deklaratywnym reagowali na nie agresją słowną, jednak ich ciała jamiste, wypełniające się krwią mięśnie penisa, mówiły więcej o ich najgłębszych pragnieniach. Przystrojona pornografia z każdym dniem stawała się coraz bardziej rutynowa i infantylna. Czasem podejmował więc nieskuteczne próby walki ze swoimi uzależnieniami, sądząc, że można odnaleźć ratunek, o ile zacznie kształtować życie na własną rękę (wykorzysta dłoń do innego celu niż kompulsywna masturbacja), jeśli podejmie się manipulacji elementami rzeczywistości, w której skład wchodziło: ludzie, ich emocje, trzymające fason, a więc zawsze uśmiechnięte twarze, ciepło oddechu, strumień kapitału, rozjarzony ekran kinowy, spalający się z trzaskiem papieros. Podziwiał aktorów porno za to, że są tak bardzo prawdziwi, pomimo fikcji, którą zmuszeni byli produkować, w ramach doskonale funkcjonującego systemu globalnej gospodarki wolnorynkowej, na życzenie milionów widzów rozrzuconych po całym świecie, których łączyło jedno: bezwzględna samotność, zatrzaśnięcie w klatkach głów, w izolatkach ciał. Niewyobrażalne pokłady zmarnowanej energii. I mózg jak zepsuta maszynka w nieskończoność reprodukuje jedno zdanie, które powracało w bezwzględnie oskarżających zapętleniach: „Seksualność jest systemem hierarchii społecznej”. Pamiętał, że jednym z symptomów upadku jego ostatniego związku był moment, w którym mogli uprawiać seks jedynie wtedy, gdy byli pijani, przy akompaniamencie subtelnych pornosów. Tych stawiających sobie za cel oddanie u c z u c i a targającego spalającym się z rozkoszy ciałem. No, włącz coś, ja się na tym nie znam. Skąd założenie, że on się znał? Najwyraźniej wyszał to z mlekiem matki. Może chłopcy zostawali po lekcjach, uczęszczali na tajne komplety z obsługi RedTube’a. Czuł przerażające kosmiczne zimno wnikające w każdą komórkę ciała. Depresyjny seks osób, które choć z pozoru były ze sobą splecione śluzem, śliną, ustami, cipą i fiutem, to w rzeczywistości orbitowały w jakiejś kosmicznej pustce, w której umiera każdy dźwięk, brakuje tlenu, a powietrze trwa w wiecznym bezruchu. Żadne inne ciało nie mogłoby być bardziej obce, choć pozornie produkowało ciepło i pot. Bardziej niż samych siebie, pragnęli hataśliwych ludzików bielejących na ekranie laptopa. Odgrywając przed samym sobą wielkie uniesienie, niekontrolowanie wierzgnął nogą. Komputer zsunął się z łóżka z trzęściwym hukiem. Światło, co jest, kurwa, nic się nie stało, jak nic się nie s t a ł o, to tylko zawiasy i ekran. Miłość. Naprawa miała okazać się zbyt kosztowna. Dłużej nie dało się tego po prostu ciągnąć. Zaczynała w nim narastać

ogromna potrzeba wytworzenia w ludziach nowego rodzaju pragnienia na rynku potrzeb erotycznych. Stworzenia popytu na pornografię, która nie uciekając się do amerykańskiej groteskowości i japońskiej oślizgłości, będzie wprawiała ludzi w zakłopotanie, dostarczając im jednocześnie szeroko rozumianej satysfakcji ekonomicznej. Polska pornografia była tym, czego wszystkim dotkliwie brakowało. Filmy, w których aktorzy korzystają z polskich języków wbrew namaszczoneму przeznaczeniu.

Język polski. Język konfesjonatu. Język pokuty. Język kary. Język ojców. Należało stworzyć polski język r o z k o s z y. Tylko jak miał się do tego zabrać?

Chyba już na dobre wrósł w szpitalne krzesło. Magda piękniała z każdym dniem, oddychała spokojnie. Pielęgniarka poprosiła go o jej zdjęcia sprzed w y p a d k u i jakimś tajemnym sposobem zrekonstruowała jej fascynującą, potarganą fryzurę. Wyglądała niemal rozczulająco. Połamana lalka.

Wniosek jest wciąż ten sam: Mógłbym żyć, a nie żyję

Franz Kafka

2

Pogrzeb Adama chyba nie był taki zły. Naprawdę mieli świetny ekspres do kawy. Żurek był całkiem w porządku, choć mogli dać więcej czosnku. Zachowawczo. Nie chcieli ekscesów. Na stypę wywieźli ich do bezpiecznej restauracji. Kucharzami musieli być stacelni, rumiani panowie pod pięćdziesiątkę.

Śmierć jest zabawna. To humor ostateczny, obronny. Domy pogrzebowe rozbrzmiewają śmiechem, aż trzęsą się w nich szyby. Wszyscy w nich pięknieją, jakby po śmierci, po odwaleniu dobrej roboty należała się nagroda. Pośmiertna posługa plastyczna. Estetyka łamanych kości, policzków wypchanych wkładkami silikonowymi, rumieńców, jakich nigdy nie zazналиśmy. Myślał, że Adam w jakiś dziwny, pokręcony sposób nieźle by się ubawił, gdyby mógł to wszystko zobaczyć. Zwłaszcza te jego ciotki, były takie ruchliwe, jak wspaniale operowały wieńcami, jak dbały o jakość estetyczną kompozycji, która przed trumną ułożyła się w absurdalną, mdlącą piramidę. Co chwilę któraś wstawiała z różańcem owiniętym wokół dłoni i poprawiała białe wstęgi pomazane czarnymi zawiasami: „Ostatnie pożegnanie, Maria, Tadeusz, Łukasz”, „Adaś, na zawsze w naszych sercach, rodzice” i tak dalej. W nieskończoność. Chyba na każdy pogrzeb w tym kraju przychodzi za dużo ludzi. Zapach tego zielska zgromadzonego w zimnej, marmurowej sali działał odurzająco. Adam, Adam, Adam. To żydowskie imię podawano sobie z ust do ust, jak relikwię, nigdy niegnijącą dłoń chrześcijańskiego męczennika, na którą wierni nieledwie ważą się spojrzeć. Pełne gacie wobec boskiej tajemnicy. Prawie udało się stworzyć atmosferę podniosłej powagi. Adam może nie zaśmiewałby się do łez, ale przynajmniej próbowałby rozładować atmosferę. Bardzo na to czekał. Podchodził kilkakrotnie do trumny i gapił się w jej wnętrze. Niesamowite rurki wpuszczone do wnętrza drewnianego pudła, których funkcją – najwyraźniej – było chłodzenie ciała, wydawały śmieszny

charczący dźwięk, jak ktoś oddychający z wielkim trudem. To dziwny oddech, nigdy nie słyszał, by ktokolwiek dyszał w tak niesamowity sposób. Jednak w trakcie odpowiednio długiego wpatrywania we wnętrze trumny można było doznać halucynacji. Klatka piersiowa zmarłego zaczyna delikatnie poruszać się w górę i w dół. Jakby rura łączyła do płuc syntetyczne życie, które zaraz postawi go na nogi, gdy rozejdzie się po wszystkich zakrętach ciała. Będzie jak balonik napęczniony helem, który nie może się doczekać, by wlecieć w górę. Potem mruga się ze zdziwieniem i wszystko okazuje się niezmiennym. Na swoim miejscu. Trumna na marmurowym katafalku, ciało w garniturze, rodzina i przyjaciele w komplecie.

Ojciec Adama zaciekle milczał, przyjmując kondolencje rozpustarty w kuchni. Idealne stanowisko z punktu widzenia taktycznego. Pozwalało mu na wiele manewrów, które byłyby niewykonalne w sali w y s t a w o w e j: zdjęcie marynarki, luzowanie pasa. Korzystał więc z wolności i błady palił papierosa za papierosem. Zwierzęce krążenie. Przystawał na chwilę, rzucał spojrzenie, kto wchodzi do kuchni, czy będzie czegoś od niego chciał, zaciągał się głęboko, najmocniej jak potrafił. Z ciężkim sapnięciem wypuszczał nagromadzony w płucach dym. Po czym wyciągał z kieszeni marynarki kolejną paczkę, którą odpakowywał z zimną rezygnacją, parzył kolejną kawę. Jakaś odpowiedzialnie wyglądająca pani, ubrana w czarną koronkową spódnicę, została wyniesiona na rękach przez widzów. Biedaczka z nerwów pewnie nie zjadła śniadania. Kobiety wzdychały, mężczyźni z niezadowolaniem wrzuszali ramionami. Ktoś rozsądnie poprosił o wodę. Szklaneczka, której dotknięcie postawiło ją na nogi. Uśmiechała się z zakłopotaniem, ściągając nieco w dół spódnicę. Wszystko się poprzestawiało. Jakiś brodaty koleś wszedł do kuchni z wielkim pudełkiem hummusu i workiem pit. Obdarowywał nimi wszystkich palaczy. Ktoś zorganizował białe porcelanowe talerze. Słychać było rozkoszne ciamkanie. Dzięki, uratowałaś mi życie tym hummusem. Nie wpadłbym na to, ale bardzo działa. Do wykorzystania w przyszłości. Oby odległej. Nie smuć [się?], to całkiem przyjemny pogrzeb. Jest do wytrzymania, to prawda. Przynajmniej jest palarnia. Napychali żółtki gotowanym grochem, zmiksowanym z ciężką sezamową pastą. Grzała się woda, czajnik szumiał, zwalnając z obowiązku wypluwania słów. Chwila oddechu. Odgłos odpalanych zapalniczek. Kuchenna mgła.

Uciec, uciec z tej kuchni, wyrwać się na chwilę z domu trupów, nawet jeśli obecnym lokatorem był trup Adama, to już nie był on, nie obraziłby się na pewno, nie może tego, kurwa, wytrzymać, nie myśleć, przestać się zastanawiać, to było tak nieskończenie głupie, jego obecność, wszyscy zgromadzeni ludzie i cała ta uroczystość. W liceum zdarzyło się parę samobójstw, ale pogrzeby miały jednak nieco inny klimat. Mniej zobowiązujący. Przyjemne grudniowe słońce. Kubek z herbatą rozgrzewał dłonie. Zapalił papierosa, rozpląkał się. Pierwsze spotkanie z Magdą. Była cudowna. Ruszała się jak kot, wita w fotelu, jakby mościła sobie postanie, tonęła w dużym zielonym swetrze, spod którego niekiedy wyskakiwały jej delikatne dłonie i atakowały rozmówcę, pomagając dopełnić plecioną przez nią opowieść. To było najlepsze piwo, jakie pili od miesięcy. Kiedy dowiedział się, że również cierpi na dwubiegunówkę, zrozumiał, że spotkał swój ideał. Od tak dawna

pragnął spotkać kogoś takiego. Kogoś, kto na pierwszy rzut oka nie wygląda na niepełnosprawnego. Ludzka maszynka, która wydaje się tym atrakcyjniejsza, im mniej sprawnie działa. Była nazbyt biegła emocjonalnie. Z tego składał się jej świat, był upleciony z afektów innych ludzi, jakby emocje tworzyły materię. Krzesło z rozkoszy, stół ze strachu, książka z samotności, obiad z wytchnienia. Od tamtej pory, od chwili, gdy wymieniła nazwy leków, imię swojego psychiatry, wiedział, że nawiązują jakieś nieludzkie porozumienie, którego najistotniejsze punkty nie zostaną nigdy wypowiedziane. Mogliby je co najwyżej wyskrzecznać, wyszczebrać, dodrapać się do ich wnętrza. Lekarz uwielbiał, gdy byłam trupem. Gdy zwałłam się na wielki skórzany fotel, spięty gigantycznymi guzami. Uśmiechał się, pytał mnie o pogodę, co u rodziców i w trakcie takiej niewinnej rozmowy wypisywał kolejne recepty. Nie byłam mu do niczego potrzebna. Znał diagnozę. Kwitek z trucizną i na koniec: „pozdrów rodziców”. Przyjaciel rodziny pomagał, jak potrafił. Pozajęzykowy kontrakt zakładał, tak wynikało z gestów i serii uśmiechów, że owszem, prędzej czy później zranią się z Magdą w jakiś niesamowity sposób, ale będzie to wyjątkowo przyjemne, jakiś nowy rodzaj krzywdy, na jaki nigdy nie porwali by się, gdyby byli o parę lat młodszy. Przynajmniej on osiągał rejestry, w których mdliło go z rozkoszy. Jeśli chodzi o nią, nigdy nie mógł być pewien czegokolwiek. Była dla niego nieczystą bazgraniną. Mimo że niczego nie ukrywała, nie zawsze rozumiał jej słowa. Nie opisywały jej, choć udawały, że to właśnie robią, że produkuje je, by wyjaśnić swoje istnienie przy tym konkretnym stoliku. Na pewnym podstawowym poziomie jej słowa posiadały znaczenie, były niekiedy trafne i jakby wyjęte wprost z jego głowy. Jakby spotkał swojego sobowtóra zatrzęsniętego w żywym ciele. Najbardziej pociągające było to, że nigdy nie mógł być pewien, czy Magda utożsamia się z tym, co właśnie wypowiedziała. Nawet gdyby ją o to zapytał, nie zbliżyłoby go to do wyjaśnienia tajemnicy. Gdy tylko słowa wybrzmiały, odklejały się od jej ciała, osobowości i ulatywały gdzieś w odległe, spalane słońcem przestrzenie. Trafiały do jakiejś niesamowitej krainy, zbioru wszystkich zdań, własności wszystkich umarłych i przyszłych ludzi. Czy ona naprawdę powiedziała, że chciałaby być psem? To wulkany pierdolonej energii. Na ile mówiła serio, a jeśli tak, to co to może znaczyć, gdy nowo poznana dziewczyna mówi, że nie ma większego pragnienia niż stać się psem i kilka machnięciami ogona rozwiązać wszystkie swoje problemy związane z brakiem pracy, ukończeniem studiów, byciem samotną, nazbyt towarzyską. Ściana słów, którą wybudowali między sobą. Język musi być kulą śnieżną toczącą się przez wieki, zbierającą doświadczenia wszystkich poprzednich pokoleń. Słowa nasiąknięte krwią i oddechem wszystkich zmarłych świata.

Krążyli. Po drodze wypluwali słowa z niesamowitą intensywnością, osiągały wysokie rejestry, wibrowały w ich żołądkach, oplątywali się siecią dźwięków, krzyku i śmiechu, próbując schwytać jedno w drugie. Wypuszczają słowa naładowane elektrycznością w kierunku innej osoby, zniewalać ją za pomocą mowy. Słuchaj mnie! Ale! Teraz ja mówię! Ja! Oto rzeczywistość, która stawała się jedynie prawdziwa w chwilach, gdy zaczynała przypominać niedawno widziany film, jakby obraz wwiercający się w oczy,

wyświetlany z wielkiego telewizora rozświetlającego ciemność pokoju, mógł uspokoić wszystkie wzburzone zmysły i przekonać o istnieniu ciała, które przeżywa realne przygody, może ulec uszkodzeniu i stracić przytomność z rozkoszy. Ciała, które mówi, produkuje słowa nieposiadające znaczenia, a jedynie uwikłane w jakieś wewnętrzne podróże. Gubił się w kreślonym przez Magdę obrazie świata, próbując spojrzeć na niego z jej zabawnej, a równocześnie tak charakterystycznej w swym tragizmie, perspektywy. Była naelektryzowana, wystarczyło dotknięcie jej beżowego płaszcza i mdlący zapach perfum, by poczuł, jak topnieje w nim wszystko i rozplywa się w bezgranicznym spokoju. Jak wszystko cichnie. Jakby kutas przesunął się w miejsce głowy, ta zaś niebezpiecznie koziółkowała na jej niewłaściwe miejsce. To niosące ich miasto stawało się małą kulą ziemską, na której czubku tkwili przynajmniej przez chwilę. Pamiętała, że gdy była w podstawówce, wyciągała zza wycieraczek samochodów ulotki reklamujące warszawskie burdele. Kobiety wyginały się w wystudiowanych pozach, eksponując genitalia. Miały blond kręcone włosy, natapirowane szalone fryzury. Z ich szyi zwisały białe, długie perły, oplatające twarde, silikonowe piersi. Dziewczynki wymieniały się tymi kartkami. W szkole podstawowej funkcjonował wewnętrzny rynek, w którym walutą za koleżeńskie usługi były ulotki reklamujące warszawskie burdele. Nie potrafił do końca wydobyć z Magdy, w jaki sposób ustaliły walutę, czy były jej wahania, krachy na giełdzie i, przede wszystkim, w jaki sposób oceniało się poszczególne nominaty. Może dzinsowo-kowbojska blondynka warta była dwie czarnulki w lateksie. Dzieciaki potrafią być takie przebiegłe. Tajemnica i kruszejąca z wiekiem odrębność od świata dorosłych. Sosy ściekały im po podbródkach. Nie mogli wybrać lepszego zarcia. Falafel na grubym z mieszanym. Po ciężkim posiłku powiedziała, że jest śpioszkiem i musi wracać do domu, odlatuje. Musiała zużytkować wszystkie siły fizyczne w kierunku trawienia. Wymienili się numerami.

Ciocie odsuwały wieńce spod trumny. Weszło czterech bardzo smutnych panów ubranych w pociągłe twarze i marynarki. Jeden z nich przyniósł młotek, który przyłożył do wielkiego wkrętu prowadzącego w głąb trumny. Ksiądz wniósł jakąś żałosną, błagalną pieśń, która wibrowała w uszach wszystkich zgromadzonych w chłodnej, marmurowej sali. Najwyraźniej był profesjonalistą. Wokalne przygotowanie robiło wrażenie. Robił to całkowicie na poważnie, bez mrugnięcia okiem, jego wszystkie gesty miały w tym miejscu znaczenie, nabierały doskonałego i czytelnego sensu dla wszystkich uczestników spektaklu. Musiał przyznać, że katolickie pogrzeby zawsze sprawiały na nim nieodparte wrażenie. Śmierć była rzeczą, na której katolicy znali się doskonale. Umieili ją przyrzędać na tyle lekkostrawnych sposobów. W ich rękach potulniała jak młody baranek. Nóż, kamień, wzgórze. Rozległ się niesamowity dźwięk metalu wbijanego w drewno. Uderzenie młotem brzmiało w równym stopniu niestosownie, co rozluźniająco. Wszyscy zbliżali się do końca. Mama Magdy śmiesznie tarmosiła sukienkę, czasem drapała się w rękę, jakby odganiała jakieś niewidzialne małe stworzenia. Wszyscy panowie stali się bardzo konkretni i dyskretnie koordynowali akcję wyprowadzania trumny. Tak, tędy, zróbcie miejsce. Delikatne syknięcia. Dźwięk różańca wrzucanego do białego, zakręcanego

pudełeczka z wizerunkiem polskiego papieża błogostawiającego skłębione masy. Imprezy, pamiętane przez wielu uczestników. Legendarne grupowe uniesienia, które odpowiednio zakonserwowane mogły służyć za pożywkę dla co najmniej kilku przyszłych pokoleń. Zakleić wszystkie otwory papieżem. Papież kochał narty i góry. Kremówki podawać z bitą śmietaną i gorzkim sosem czekoladowym. Wysuszyć to nowoczesne bagno za pomocą jakiejś postsekularnej, polskiej mutacji chrześcijaństwa. Przypomniała mu się kobieta, która urodziła martwe dziecko na plebanii s w o j e g o księdza. Uduszone pępowiną. Biedak nie potrafił się zdecydować, czy poród na plebanii jest wystarczającym powodem, by wezwać lekarzy. Ostatecznie zdecydował, by ratować swą kapłańską twarz strażnika celibatu. Nie robić afery. Na szczęście dziecko zmarło, jednak prokurator zawiesił śledztwo, n i e będąc w stanie znaleźć dowodu obciążającego księdza o spowodowanie śmierci poprzez nieudzielenie pomocy. Jeśli chodzi o księdza i j e g o kobietę, był przekonany, że wyjaśnili sobie całą s y t u a c j ę. Spokojna rozmowa, po drodze naprawdę cichy pochówek aniołka, buziak na zgodę, niepokalany seks analny w oparach świętości.

Czterej smutni panowie chwycili sprawnym, mechanicznym ruchem trumnę i umieścili ją na ramionach. Torowali sobie przejście w sposób nieznoszący sprzeciwu, doskonale wiedząc, że nikt nie powstrzyma ich pochodu. Nie spieszyli się z zbytnio, po prostu byli pewni siebie. To byli zawodowcy. Smutny grymas na zawsze przyśrubowany do ryja. Kurwa, to jest przecież genialny dom pogrzebowy! Należy napisać pierdolone peany na cześć tej firmy na wszystkich stronach internetowych. Wystawić im opinię na Google'u. Co najmniej pięć gwiazdek za obsługę! Ciekawe tylko, jak wypadnie jedzenie. Przynajmniej Adam został wybornie przyrządzony. To ważny punkt, którego nie należy omijać nawet w pobieżnej recenzji. Zjadłby parujący rosół z rozlazłymi okami tłuszczu. Albo żurek. Wyszli na trzeźwiące grudniowe słońce, pachniało żałobą i topniejącym śniegiem. Panowie wsunęli trumnę do karawanu, poważnie wyglądająca, falbowana zastona unicestwiła jej widok. Uczestnicy poczuli się nieco swobodniej, ludzie zbijali się w małe grupki. Palili papierosy, formując się w małe kółeczka, jakby gotując się do wesółych zabaw. Mama Magdy zaproponowała transport, plac pustoszał, po samochodach zostały głębokie ślady w rozlazłym błocie. Kosmiczna nuda sączyła się w usta.